Żydówka z salonów żydowskich

Z SALONÓW ŻYDOWSKICH

SZKIC DO POWIEŚCI

SKREŚLIŁA

ŻYDÓWKA.

WARSZAWA.
Skład główny w Księgarni Gebethnera i Wolffa

1879.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 1 Ноября 1878 г.

W drukarni **K. Kowalewskiego.** Królewska Nr. 23.

* * *

Drobny mój szkic, drukowany w „Nowinach,“ wywołał tak wielkie oburzenie i sprowadził tyle niesprawiedliwych zarzutów, że ośmielam się w kilku słowach objaśnić tendencyę i pobudki, jakie mną w pisaniu jego kierowały.

Oto pragnęłam w nim wykazać pewne słabe strony naszej „arystokracyi,“ sposoby zawierania małżeństw i ich następstwa, przyczyny upadku moralnego wielu kobiet tej sfery, a wreszcie — zło, tkwiące w powierzchownem wychowaniu.

Ujemna postać Klatschmacherowej potrzebną mi była do scharakteryzowania wielkości występku, do jakiego podobna kobieta jest zdolną i skutków, jakie tworzą pojęcia i dążenia takiego typu. Jeżeli nie przeciwstawiłam jej zwykłej u nas postaci szlachetnej matrony i rozsądnej matki, to dla tego jedynie, że nie miałam pretensyi do kreślenia całego obrazu naszej

społeczności, szło mi raczej o *zwrócenie uwagi* na pewne ujemne, a niewyjątkowe niestety jej strony.

Sądziłam, że miłość dla swoich objawia się nie tyle w hymnach pochwalnych, ile w szczerem, nie osłoniętem mgłą zaślepienia — przedstawieniu ich błędów i niedoborów, nad któremi zastanawiać się powinni. Droga to jednak najeżona niemałemi trudnościami; nic więc dziwnego, że na pierwszym zaraz kroku tyle niepowodzenia i niezrozumienia napotkała pisząca te słowa

Żydówka.

Kochany Alfredzie!

Jak starożytny Jazon puszczam się na wyprawę po złote runo, tylko że bez „floty“ we wszelkiem możliwem słowa tego znaczeniu. Oj! „ta flota, ta flota!“ póki stary mój żył, póki się mamiło Herszów i Szmulów przyszłem dziedzictwem, nie potrafiłem jej ocenić. A teraz *ja*, ostatni potomek z rodu Rodolińskich, szlifuję bruk tej nędznej mieściny i uganiam się za gęśmi, owieczkami i tp. rodzajem niestrawnych stworzeń. Wszystko, co mam pozytywnego, zastawiłem, pozostają mi bardzo idealne własności: herb i hrabiowska korona. Własności te są tak idealne, żeś ty nawet o nich nie wiedział.

„A on zkąd do tego przyszedł?“ spytasz, ale sza...... Familia Rodolińskich, jedna ze starożytniejszych w herbarzu, zaginęła, my nosimy to samo nazwisko, a jeżeli nie mianowali mnie hrabią, to czyż nie mam do tego większego prawa niż mój imiennik, który zginął bez wieści w ostatnich rozruchach?

Czyż nie lepiej mówię po francuzku, czy nie z większą nonszalencyą rozrzucam pieniądze, czy nie wyżej mnie stawia cały, pół i ćwierć-światek paryzki? Paryż! kochany Paryż! Nie — gdy przypomnę sobie rzęsiście oświetlone sale Mabilu i twarzyczkę mojej Dory, czy Tiny, nie wiem już jak się tam wabi, wście-

kam się na myśl, że tu jak w więzieniu wegetuję; ale wszak pracuję nad szczytnem dziełem. Posłuchaj, Herszek mój jedyny tyran, najwyższa władza, jaką nad sobą uznaję, powiada, że zbawieniem mej duszy jest posag jakiejś milionowej żydóweczki. Tylko w tej szajce można jeszcze robić dobre geszefta, to kopalnie złota, to majątki szalone a dla nas dostępne. Domyślasz się, że z początku złapałem go za kołnierz i krzyczałem gwałtu, ale tak mnie perwadował, że — que sais-je?

Wszak hr. G., pierwsza familia, dał dobry przykład, a przytem jakaś tam szkoła, coś prawi o krzyżowaniu się ras — c'est cela. Muszę się poświęcić dla idei, będę posłannikiem liberalizmu; tylko przez wzajemne kojarzenie się, żywioł żydowski tak wstrętny i nieprzyjazny może się zaklimatyzować, wejść w krew i ciało narodu naszego. Uważasz! jestem w natchnieniu, będę walczył z przesądami, pod sztandarem nowożytnych teoryi aż do...... do zjadania kolacyi u Stępka, za pieniądze jakiego Rubelmachera, aż do...... wąchania czosnku i cebuli „Fi! quel mauvais genre!“ Ale cóż robić! „C'est mon seul, mon dernier refuge.“ Niby bohater grecki uginam się pod ciosami nieubłaganego fatum. Przyjaciele! bolejcie nad moim losem! Wprawdzie Herszek ułatwia mi go ogromnie. Nieocenione factotum! Zaledwo go wyrzucam jednemi drzwiami — włazi drugiemi i to z jakąś zaszarganą jejmością. Byłem w negliżu, et comme toujours, dla dam galant — mówię, że nie wolno. „Cela ne fe rię mosieu le kąt“ mówi jejmość, i pakuje się, słowo daję, bez ceremoii. Sprytna kobiecina, jak mi zacznie łechtać uszy cyframi. Bankierówna Paca-

nowska 100,000 rs. na stół, kupcówna Tunkelkraut 70,000 i willa za miastem, cała lista powiadam ci długa jak mój rachunek od François. Doprawdy zaczynam tych ludzi szanować, że wyzwolili się z pod przesądów i tak po pitagoresowsku świat pojmują. U nas lada jejmościanka wymaga romansowych scen, jeszczeby można się kataru nabawić (zwłaszcza przy moich nadwerężonych płucach). Aż mi się lekko na sercu zrobiło i wybrałem comme de raison najkorzystniejszy okaz. Bankierówna Cecylia Mińska — mam ją dziś poznać u jej wujaszka, konsula trebizondzkiego de jure i defacto handlarza starożytności. Wprowadza mnie Lolo kantorowicz, chorujący na szyk i dystyngowane znajomości.

Idę niby w przejeździe oglądać ciekawe zabytki z pasyą anglika, bo trzeba ci wiedzieć, że noszę teraz angielskie paltot i faworyty, używam tylko angielskich perfum i wtrącam od czasu do czasu „God dam“ albo „My dear.“ Te paryzkie awanturki strasznie się spopularyzowały, byle żydek z Nalewek grassejuje i czesze się jak lalka fryzyerska; otóż a true Englisch gentleman, zimny, surowy, robię apparition, uskarżam się, że nikogo nie znam.

Oni właśnie bal wyprawiają w rocznicę ślubu i z walki z życiem, którą jakiś głupiec nazwał tragedyą, kiedy to taka płaska farsa, wychodzą z honorem. W tej ważnej chwili przebiegam myślą pojedyncze tej farsy ustępy. Dalej! nie zrobiłem nikomu nic złego, raz nawet uratowałem życie jakiemuś studencikowi, który się tak w przechodzie po stromych Tatrzańskich górach zagapił, nad jakimś mchem, czy trawką, że byłby runął w przepaść, gdybym go z narażeniem

życia nie wstrzymał. W prawdzie na śmierci mojej najwięcej straciliby moi partnerzy; byłem przegrany na kilka tysięcy, byłbym opłakiwany co się zowie.

Ale niebo ulitowało się nad niemi, przytrzymałem przyrodnika, nie straciwszy sam równowagi. Chłopię jakieś egzaltowane, przysięgało mi dozgonną wdzięczność. Na szczęście po kilku dniach straciłem go z oczu a nie mogłem go przekonać, że puste frazesa deklamuje. Przytem à quoi pouraitil me servir? goły jak święty turecki. Ale mon cher, wybacz, że cię tak nudzę, ja który cierpiałem na atramentowstręt, rozpisuję się jak jakiś nędzny reporterczyk od wiersza płatny, a tu czas ubiega, fryzyer mój czeka z całym arsenałem, il faut se faire beau.

Odpowiedz mi prędko, co robi cała nasza *paczka*, bo tu zdziczeję w niestosownem towarzystwie, powiedz Misiowi i Franiowi, że badam nieznane sfery, odkrywam kopalnie złota, a wynalazkami podzieli się z wami

Your affectioned

John.

I.

Godzina jedenasta — w rzęsisto oświetlonym salonie na jednej z pryncypalnych ulic, uwija się raźno i z widoczną niecierpliwością kilka figurek.

Do koła pną się kwiaty, lśnią się przepyszne wazony i rzeźby wielkiej wartości; wszystko wre przepychem, bogactwem, wystawą.

Gospodyni domu w ciężkiej aksamitnej sukni, zawieszona brylantami, przytyka do oczu lornetkę i wygląda przez okno.

— Ils devraient pourtant arriver, wycedziła zwolna.

— Ach mamo! mamo! jak późno! — wołała stojąca koło niej panienka. — Ja się chyba tego balu nie doczekam. Grajek już siedzi od pół godziny, tak późno, a oprócz Cesi i wujaszka nikogo nie ma. Ach, jabym już chciała tańczyć! Ach tańczyć — i obracała się w kółko, plątając się w fałdach długiej sukni, to znów z dumą podnosząc swą trenę.

— Uspokój się Rose — napominała poważnie pani w aksamitnej sukni, wysoka, majestatyczna a przytem sztywna i napuszona — niezapominaj, że od dziś jesteś dorosłą panną, nie możesz szastać się jak chłopiec, sois enfin distinguée, moja droga, nie mów tyle, obliczaj słowa, układaj gesta. Une demoiselle qui se

respecte i która tak jak ty, jest córką konsula, musi mieć przedewszystkiem *dobre manery.* Miej dla każdego uśmiech gotowy, słodkie słówka, ale serca nie otwieraj nikomu, sois reservée moje drogie dziecko. Szanuj się, jeszcze jesteś bardzo młoda, skoro przyjdzie twój czas, wybierzem ci kogo stosownego — wtedy będziesz mogła używać wszelkiej swobody, bawić się jak ci się podoba, teraz...... Ale patrz! oto zbliżają się goście, proszę cię nie krzyw się i ust nie sznuruj, dygnij z lekka i nie ściskaj każdego tak silnie jak ty to zwykłaś, to jest mauvais genre. Va, va, mon enfant! Pani Mińska posunęła się majestatycznie ku drzwiom, dla każdego miała słówko gotowe i dla każdego inne. Dziękowała za uprzejme przybycie ale nie zanadto aby się nie poniżyć; cieniowała głos według pozycyi socyalnej danej osoby, wyznaczała miejsca, a zawsze z godnością i powagą.

Sala napełniała się powoli, kanapy zajmowały matki strojne w koronki, kamienie, kwiaty. Jedne z nich szykowały się z poddaniem do przyzwoitej drzemki, inne pretensyonalnie ubrane, z zawiścią i niechęcią spoglądały dokoła, jakby nie zadowolone z roli biernej, jaką odgrywać je zmuszały nieubłagane lata— nielitościwe zmarszczki...... Inne jeszcze ciekawie spoglądały dokoła, obserwowały wszystko i wszystkich, szepcąc sobie do ucha zgryźliwe uwagi.

Między temi ostatniemi rej wodziła pani Klatschmacher, żyjąca na łasce swych braci Mińskich: konsula i bankiera, co jej nie przeszkadzało nienawidzić ich szczerze, przymilać się w oczy a obgadywać za oczami.

Złośliwie mierzyła wszystkie panny, wzrok jej rozjaśniał się tylko w chwili, gdy patrzała na córkę

swą jedynaczkę Mimi, piękną brunetkę, o pełnem czaru wejrzeniu.

Panowie poszli do kart. Młodzież stała tłumnie we drzwiach, z szapoklakami pod pachą, wyczekując na hasło tańca. Panienki poprawiały sobie włosy, układały falbanki, strzelały oczkami i niecierpliwiły się potrosze.

Wreszcie dały się słyszeć tony straussowego walca. Walc zabrzmiał, a w takt jego poruszyła się cała sprężynka towarzystwem zwana, a żywioły różnorodne pomięszały się, ożywiły w ogólnym ruchu. Pierwotny przymus zniknął...

Niech co chcą prawią o tańcu. Jest zawsze urok, jest siła porywająca w tym bezładnym a harmonijnym ruchu, szał w tem wrażeniu elektrycznem, poruszającem tłumy całe, w tej poezyi życia, młodości i szału, kwitnącej na gruncie konwencyonalnej etykiety.

W pierwszą parę idzie Rose, z młodym Lolo, wspomnianym kantorowiczem; wymarzona trena plącze się jej między nogami, boi się ją unieść bo może by to było niestosowne i niedystyngowane, rumieni się biedactwo i mięsza. Wszyscy na nią patrzą — ciężko oddycha, z zadowoleniem dostaje się na miejsce.

— Tak się zmęczyłaś — mówi z litościwą ironią sięḍząca obok panna Klatschmacher.

— Nie, wcale nie — odpowiada zawstydzona panienka i na dowód skłania główkę przed nowym tancerzem i sunie się żywo w tany.

— Nie zazdroszczę mu — szepcze spoglądając za oddalającą się parą — piękny Lolo, ubrany jak figurka z żurnalu.

— Taka ciężka i niezgrabna, tem bardziej teraz, gdy stoję przy pani...

Wzrok jego palił się i mówił stokroć więcej i śmielej. Wtórowały mu czarne oczy Mimi, zachęcał uroczy uśmieszek.

— Więc cóż, że pan przy mnie stoisz — spytała z kocią minką.

— Ach, panno Mimi, nie znęcaj się nademną, wszak wiesz, co się ze mną dzieje.

— Wiem tylko, że mi pan nielitościwie na suknie następujesz, a właśnie mam nową tualetę od Hersego.

— Ach wybacz pani, ten to właśnie strój, w którym ci tak do twarzy, każe mi o wszystkiem zapomnieć.

— Ale nie o tem, żeś pan zrobił nową akwizycyą; jakiegoś hrabiego wprowadziłeś do cioci, widzę bowiem, że zwracasz ciągle oczy w tamtą stronę. Co to za jeden?

— Poznasz go pani wkrótce, zamówiłem go na vis à vis do wszystkich tańców, właśnie zaczyna się kadryl, comme de raison prowadzę i to z gwiazdą wieczoru pod rękę. Pozwól pani, że na chwilę odejdę, ustawię pary. — A bientôt.

Odszedł — piękna Mimi oparła główkę na ręku i pogoniła smętnym wzrokiem za zręcznym tancerzem.

Wkrótce zbliżył się Lolo. „Mam honor przedstawić pani mego przyjaciela,“ — hrabia skrzywił się lekko na ten niezasłużony epitet.

Lolo wyrecytował z emfazą: „Hrabia Rodoliński, a trochę ciszej i połykając połowę dodał: Panna Klatschmacher.“

Wzajemne ukłony i „bardzo mi przyjemnie.“ Lolo podaje rękę Mimi, zwraca się do starego: „pan wybaczy“ — i odchodzi.

Kadryl się zaczyna.

— Przed chwilą widziałem panią z tym przeklętym rozwodnikiem — mówi Lolo, — a jak się państwo ściskali za ręce evidemment il vous fait la cour.

— Ja go znieść nie mogę — z wstrętem odpowiedziała Mimi, — wymyślałam mu jak umiem, odstraszam, ale jest tak wytrzymałym, to przynajmniej mój stały, wierny emablator.

Spojrzała wyzywająco. Lolo się zatrząsł, ale musiał dyrygować wszystkiemi parami.

„A gauche.“ „A droite“ — wołał z nieporównaną energią i gracyą.

To panowanie absorbowało go, czuł się królem, rządził temi tłumami, promieniał radością lub nosił się gniewem...

Najwięcej niecierpliwił go młody człowiek blisko stojący, rudy, w binoklach szafirowych na nosie. Miał on minę poważną, arogancką, poruszał się niezgrabnie i nie do taktu, mylił się i mięszał. Trzymał za rękę osobę młodą, ale nie ładną, ubraną gustownie lecz ciemno i skromnie. Była to Cecylia Mińska.

— Ależ panie doktorze — wołał zirytowany Lolo — proszę cię racz uważać, tańczymy trzecią figurę. Zostań pan na miejscu. Panno Cecylio! pani tańczy. Les dames en avant.

— Pan widocznie nawet w tańcu nie chcesz nikomu ustąpić pierwszeństwa — wtrąciła ironicznie panna Mińska.

— Myli się pani — odparł lekko urażony doktór,— na tem polu odstępuję wszelkie trofea podobnym panu Lolowi osobistościom; nie cierpię tańca,—to kręcenie się w kółko, wydaje mi się co najmniej dziecinnem. Gdyby nie chęć poznania pani, zbliżenia się do niej, nie poddałbym się tyranii p. Lola.

— Pojmuję, pan jesteś wyższym nad podobne zabawy.

— Ależ, bo pani bierze wszystko tak ironicznie.

— Przeciwnie, konstatuję fakt.

— Rzeczywiście przyznaję, że ludzie nauki, ludzie poważni jak my, nie powinni się popularyzować. To osłabia szacunek, który ich otaczać powinien.

— Ależ panie, sądzę, że młody człowiek powinien być przedewszystkiem młodym. Jeżeli pan czujesz się nawet w tej chwili, że jesteś doktorem i to chirurgiem do tego, z obawą spoglądać na niego będę. Pomyślę, że badasz mnie w każdej chwili, a może co gorsza masz ochotę przyciąć mi języczka, bo za — złośliwy.

— W istocie pani jesteś nielitościwą, sądziłem, że inaczej przez nią przyjęty zostanę... Miałem prawo spodziewać się...... Mówiono mi...... Pani wybaczy......

Jąka się. Cesia spojrzała zań z góry imponująco.

— Mam przyjemność *pierwszy* raz widzieć pana i *pierwszy* raz słyszeć o nim — odpowiedziała chłodno z naciskiem.

— Ja za to słyszałem wiele o pani — ciągnął trochę zbity z toru doktór Samuel Fuchs — o jej studyach naukowych. W ogóle nie lubię kobiet, co się wyrzekają kobiecości i wkraczają w nasze sfery, ale pani jesteś osobą tak wyjątkową!

— Czy jesteś pan tego *zupełnie* pewnym? — tym samym tonem co pierwej spytała bankierówna.

Fuchs zagryzł do krwi wargi. Dziś rano była u niego swatka, proponowała mu pannę Cecylię Mińską, oznajmiła, że dla poznania z nią wieczór wyprawia jej ciotka. O warunkach połączenia mówili obszernie i wyczerpująco. On przystał na oznaczoną rentę od posagu, familia z tamtej strony wydawała się zgodną, sądził, że główne formalności dokonane, że przychodzi do gotowego. Teraz ironia panny raniła ambicyę, stronę najdrażliwszą i najwięcej rozwiniętą u pana doktora. Zmięszał się do reszty i tak ze światowemi formułkami nie oswojony — w salonowe szermierki nie wprawny doktór, zawiesił broń i pomyślał o zabezpieczeniu swej ambicyi, o zręcznym odwrocie, a w każdym razie o gotowej i honorowej ucieczce.

Małżeństwo uważał za interes handlowy, za kontrakt prawny, tracić czas i wysilać umysł na próżne konkury nie myślał.

Tymczasem kadryl zbliżał się do końca. Ostatnia figura, arcydzieło Lola, wieńczyła pracę jego. Tancerze i tancerki wyglądali jak różnobarwna wstęga, która zwijała się, kręciła i układała na różne strony — wreszcie zadecydował ogólną galopadę.

Doktór Fuchs okrągłych tańców nie tańczył. Zajęty od dzieciństwa staraniem o chleb powszedni, nie miał czasu na podobną naukę, przeprosił Cesię, nie chciał jej wystawiać na śmieszność swą niezgrabnością.

— Na tym punkcie przynajmniej jesteś pan skromnym i sprawiedliwym, to lubię—powiedziała Cesia— wprawdzie takim sposobem zostaję na koszu.

— Vous, mademoiselle? nigdy! — zbliżył się hrabia Rodoliński — ja na to nie pozwolą— jestem niestety! tak przynajmniej myślałem przed chwilą— w tem samem położeniu. Właśnie dama, z którą tańczyłem, zmęczona opuściła mnie. Unissons nos malheurs, a będzie nam lżej.

I rzeczywiście lekko sunęli się po sali, hrabia jednak męczył się łatwo, posadził więc tancerkę. Dziękuję pani — wyrzekł — dawno już nie tańczyłem z taką przyjemnością, ale taniec galop, to jak wino szampańskie, nie trzeba nadużywać bo: on se grise.

— A przytem pan zdaje się jutro wyjeżdża, wuj mówił, że tylko w przejeździe zatrzymałeś się w naszem mieście.

— Tak pani, dziś rano jeszcze miałem ten zamiar, ale terz poznałem panią...... Czyż mogę miejsce to opuścić?

— Panie! — głosem zdziwionym i obrażonym! przerwała Cecylia.

Hrabia się zatrzymał. Trochę za obcesowo się do niej biorę, pomyślał. Djabli wiedzieli, że z tą dziewczyną potrzebne ceremonie.

— Wybacz pani mej śmiałości, damy wielkiego świata zepsuły mnie i wyrwały szczerość prawie enfantine. Przyzwyczaiłem się otwarcie mówić. U nas to uchodzi.

— Pan wydajesz się być lwem, Don Juanem, zdobywcą serc niewieścich.....

— Tak, tak, troszkę, oh! comme vous y allez! — przerwał skromnie z pewnem zadowoleniem hrabia — wyznam pani, że to nie trudno, każda z pań ma pewną słabą stronę il n'y a que odkryć ją i uderzyć

w nią a jesteście zwyciężone. Miecz to obosieczny, składam go w ręce pani, możesz go do nas zastosować.

— Nie, to niepodobna.

— Dla czego?

— Panowie macie tyle słabych stron, niewiadomoby, w którą wpierw uderzyć.

— Jednakże coby pani wybrała, w podobnem położeniu?

— Impertynencką pewność siebie.

Hrabia zagryzł usta i zamilkł. A tom się zagalopował, fiu, fiu, a to jakaś cięta bestyjka. No, sprobójmy z innej beczki, tak myśląc poprawił mankietki, potrząsnął z lekka głową, aby potargać fryzurę w sposób znamionujący głębokie myśli i zaczął poważnie:

— Wracam właśnie z Anglii, udaję się do dóbr moich na Wołyniu, aby zaobserwowane tam ulepszenia u siebie zastosować. Tam, pani, arystokracya utrzymała swą godność, wpływ i znaczenie, z niej nam brać wzór należy. A co czy nie wzorowe urządzenie całego państwa?

— Anglia to kraj ekonomii politycznej...

— I bifsztyku — wtrącił hrabia, czując, że mu grunt słabnie pod nogami,— pytanie co posilniejsze.

— Jak czasem, jak dla kogo i jak w jakiej chwili,— odpowiedziała trochę sucho Cecylia.

— Teraz naprzykład nous pourrons nous passer de l'un et de l'autre, wprawdzie kwestye socyalne niesłychanie mnie zajmują, ale za wiele mam szacunku dla dam, aby je tak suchemi przedmiotami obarczać, a przytem panie tak znacie dobrze i praktykujecie ekonomią.

— Panowie znów obrabiacie z przykładami rozdział o cyrkulacyi bogactw.

— Dowcipnie, słowo daję, ale nie sprawiedliwie. Odnosić się to może do tych — fircyków, trawiących życie w zbytkach i zabawie, któremi ja pogardzam — wyrzekł z wyniosłością Rodoliński, a w duchu monologował sobie: sawantka, pozytywistka! horrendum; nie, tego się nie spodziewałem, z ekonomią polityczną mi wyjeżdża, z dowcipów się nie śmieje i tak jakoś bystro, zimno spogląda... Wybiję ja jej z głowy te awanturki egipskie. No, dalej do dzieła; po nitce dojdziemy do kłębka, znajdziemy i do ciebie drogę. Nie z takiemi się już miało do czynienia.

Gdy hrabia odwrócił się chcąc kampanię rozpocząć na nowo, nieprzyjaciel zniknął uniesiony wirem walca. Przy nim siedziała Rose. Hrabia zwrócił się ku niej tonem najłagodniejszym na jaki mógł się zdobyć— wyszeptał:

— Pani gorąco.?

W sali upał był nieznośny. Był to punkt kulminacyjny balu, szału i upojenia.

Pary suwały się raźno po posadce, kwiaty, falbanki oderwane wlokły się dokoła, krew rozgrzana krążyła szybciej.

Wśród różnobarwnego tłumu wyróżniała się szczególniej jedna para strojna młodością, wdziękiem, życiem i jakimś ogniem wewnętrznym. Byli to Mimi i Lolo; policzki ich płonęły, oczy świeciły elektrycznym blaskiem, on ją obejmował silnie, namiętnie, tulił gorąco do piersi, ona z upojeniem i roskoszą poddawała się temu ujęciu, opierając ziekka główkę na jego ramieniu.

Wszyscy patrzyli się na nich: tak piękną harmonijną tworzyli całość. Tak tańczyć, tak wyglądać mogli ci, co się kochali! Lolo czuł, że zwracał uwagę ogółu, czuł, że miał u boku królowę salonów, dumny ze swej nadobnej tancerki, tem goręcej tulił ją do swej piersi.

Wreszcie Mimi wyszeptała: Już dosyć, w głowie mi się kręci, upadam.

Lolo zatrzymał się, podał jej ramię — zniknęli.

. . . .

Muzyka zagrała poloneza. Na hasło to panowie sunęli się angażować damy do kolacyi.

Doktór Fuchs przerwał poważną dyskusyę, prowadzoną z jakimś uczonym profesorem w przedpokoju i stanął we drzwiach salonu, był zaambarasowany, przecierał chusteczką szafirowe binokle, wahał się, usiłując zdobyć się na krok dyplomatyczny. Cenił się wysoko, przytem patrzał na wszystko z punktu filozoficznego; tembardziej na kolacyę. Wahał się czas jakiś — wreszcie myśl pewna rozjaśniła mu czoło. Tak będzie lepiej — wyszeptał — minął prędko Cesię i zbliżył się do gospodyni domu, podając jej rękę z głębokim ukłonem.

Inne pary sformowały się nieco szybciej; wszyscy obeszli pompatycznie salon kilka razy i sunęli się do jadalnych pokoi.

Pani Klatschmacher pozostała sama, niespokojnie spoglądając dokoła. Mimi nie było w tym tłumie — gdzież ona? Wbiegła szybko do sąsiedniego buduarku. W poetycznym półcieniu na kanapce otoczonej kwiatami, rysowały się dwie sylwetki zbliżone do siebie.

— Mimi — zawołała pani Klatschmacher z wymówką i zdziwieniem w głosie.

Młoda panienka otrząsnęła się, była blada, drżąca i wzruszona. Oko matki dostrzegło zmianę.

— Co ci jest, drogie dziecię? — dodała z obawą.

Lolo stał już wyprostowany, elegancki, lekki jak motylek.

— Uspokój się pani, lekka niedyspozycya, skutek zmęczenia— wycedziwszy to, ukłonił się z wdziękiem i odfrunął.

— Mówiłam ci, żebyś nie tańczyła tyle, ale chodź, wszyscy już siedzą oddawna przy kolacyi, wkrótce nieobecność twoja stanie się widoczną i kompromitującą dla ciebie. Dalej, w górę główkę! uśmiechnij no się po swojemu. — I poprawiała pukle jej włosów spadających w nieładzie na białe ramiona i układała fałdy sukni.

— Mamo najdroższa! chodźmy do domu, po drodze ci powiem wszystko, ale nie tutaj— nie tutaj.

— Coś niezwykłego stać się musiało. Nie widziałam cię nigdy tak rozdrażnioną, chociaż wyjście nasze będzie rażące, wolę to, aniżeliby cię kto miał widzieć w tym stanie. Idźmy, a jutro się wytłomaczę, że zasłabłam.

Sala opróżniła się; zdaleka tylko dolatywał szczęk talerzy, migały postacie lokai roznoszączch półmiski, — dwie owe panie z łatwością dostały się do karety.

Wieczorne świeże powietrze orzeźwiło Mimi; przytuliła się do ramion matki.

— Mamo przebacz, popełniłam szaleństwo. Lolo wyznał mi swoją miłość, ja mu wzajemność przyrzekłam.

Czułam, że mówił prawdę. Tak go kocham. Byłam tak szczęśliwą!

— Czy był kto przy tem, czy widział was, broń Boże?!

— Nie — byliśmy sami, zupełnie sami.

Pani Klatschmacher odetchnęła lżej...

— To pół biedy jeszcze! A teraz zaklinam cię na miłość moją, na starania, któremi cię otaczałam od dzieciństwa, nie gub mnie i siebie, nieszczęśliwa! Zapomnij o nierozważnych słowach wymówionych przed chwilą. Wszak znasz moje zamiary co do Brylanta. To człowiek dla ciebie stworzony, on spełni wszystkie twoje życzenia, on ci tylko może zapewnić los, a Lolo co? To nędzny kantorzysta, pensya jego zaledwie na twoje rękawiczki wystarczy.

Wierzaj mi, ja, kochająca matka, czuwam nad twoją przyszłością. Czyż nie odmawiałam sobie wszystkiego, dla ciebie, moja jedynaczko droga? Zastawiałam co mogłam, chodziłam żebrać do tej Cesi, której nienawidzę, aby ci na niczem nie zbywało — zadawalniałam każdy twój kaprys. Tyś przyzwyczajona do zbytku, wychuchana, wypieszczona, nie wyżyłabyś bez tego.

Mimi zanosiła się od płaczu.

— Cóż ja jestem winna? Tak kocham Lola, tak byłabym z nim szczęśliwą, mój Boże! iść za tego starego, którym się brzydzę. To okropne!

— Nie egzaltuj się, mój aniołku, powiedz sama, czybyś mogła wyżyć w dwóch pokoikach, na 3-ciem piętrze z jedną sługą, chodzić zawsze w jednej skromnej sukience?... Ty nie przyzwyczajona do pracy, twoje białe rączki zniszczyłyby się przy robocie, cera

straciłaby swą przezroczystość, figurka pochyliłaby się. Cóż byś poczęła bez balów, strojów i teatrów. Zwiędłabyś przedwcześnie, zestarzała się, wtedy byłabyś *naprawdę* nieszczęśliwą!

Tymczasem jako żona bogacza opływać będziesz w dostatkach, a zapragniesz zabaw — któż ci zabroni, abyś tylko była sprytną i ostrożną. Twój Lolo kochać cię więcej będzie w koronkach, atłasach, niż w perkalowej sukience, z czerwonemi od pracy rękami. On praktyczny, pojmie twe położenie. Miłość na świecie, moja duszko, to wielki zbytek, którego nie każdy może sobie pozwolić. Gdybyś była tak bogatą, jak twoja nieznośna kuzynka; — a tak, trzeba się pogodzić z losem. Lolo pożałowałby wkrótce chwili szału — może już żałuje, musisz wyjść z honorem i zerwać pierwsza. Chłopiec lekki, gotów cię skompromitować, trzeba coś postanowić!

Łzy spływały ciągle po twarzy Mimi, ale coraz to łagodniej, bez spazmatycznych kurczów i goryczy; budziła się ze snu roskosznego; w uszach jej brzmiały słowa: „bieda, praca, obowiązek, odmawianie sobie.“ T pojęcia, których nie znała.

Słaba, kapryśna, lekka, zepsuta; czuła wstręt do tego wszystkiego, bała się — kochała Lola, ale nie czuła siły do poświęceń i wytrwania.

Wychowanie umeblowało tę piękną główkę talentami towarzyskiemi, sprytem salonowym, ale nie dało jej stałości charakteru i wytrwałości.

W piersi jej drgały jeszcze tajemne łkania, niewyraźne wyrzuty do matki, dla czego ją tak wychowala, ale słaba, nie umiała wyzwolić się z tego wpływu, ani go jasno sformułować.

Czuła się nieszczęśliwą, a nie widziała innego punktu wyjścia, jak proponowane jej małżeństwo. Dla tego to powtarzała tylko bezmyślnie:

— Taki brzydki, taki stary!

Matka wzruszona łagodnością jedynaczki:

— Uspokój się — wołała — może znajdziemy co lepszego. Trzymaj go w rezerwie, a probujmy dalej. Przyjechał tu dziś jakiś milionowy hrabia, uważałam jak cię lornetował, jesteś tak piękna, sprobuj go oczarować. Tobie wielka karyera przeznaczona. Wprawdzie on kręcił się koło Cesi, ale gdzie się jej tam z tobą równać, już ja go zresztą od niej odsadzę, to moja rzecz—nie bój się, wynajdę coś, wynajdę. Krzywiła się na poczciwego chirurga, zachciało się jej hrabiego... ale... uspokój się tylko moje dziecko, wszak wiesz, że matka wszystko, wszystko dla ciebie uczynić gotowa.

I tak dalej szeptała jej w ucho, pochlebstwem, błaganiem, perswazyą, nadzieją przyszłych bogactw, ciszyła głos serca, nęciła zmysły, aż wreszcie Mimi złamana i smutna, rzuciła jej się w objęcia.

— Rób co chcesz — wyrzekła.

Kolacya tymczasem szła swoim trybem, dania były wykwintne, wina wyborne, najposępniejsze twarze rozjaśniały się pod ich wpływem, rozmowa ożywiła się i stawała głośniejszą.

Panienki tylko sznurowały usta, prosiły o bakalie i lody, grały w „Vielliebchen," słodkiemi spojrzeniami częstując swych danserów.

Ci ostatni woleli dobrą pieczeń i swobodę; kilkunastu z nich obrało sobie kawalerski stolik w osobnym pokoju. Tu dopiero wraz z korkami szampana

leciały dowcipy, dwuznaczniki — Lolo nie dzielił ogólnej wesołości — był zły.

Zasypałem się! — myślał sobie, — zaawansowałem się za daleko, ale bo też co za dziewczyna, proszę siedzieć, na honor, zawróciła mi głowę i gdyby miała choć nędzne 10,000 rubli!

Lolo wzdychał.

A tak trzeba się obejść smakiem, dobrze mi tak, trzeba było trzymać się dam kameliowych, to mniej ryzykowne, powiem sobie: wydam tyle i tyle, no czasami weźmie mnie na kawał, ale wiem czego się trzymać; — albo młode mężatki, tani towar — można dużo zyskać, a najwyżej oberwać coś w cichości.

Dobrze mi tak, po co mi było wdawać się z tą czarodziejką. A teraz co? apetyt straciłem i głupią mam minę, przecież żenić się nie mogę. Gdzieżbym taką magnifikę utrzymał, a moje marzenia, interes na własną rękę? Trzeba się poświęcić.

I bohaterską rezygnacyą schwycił za kieliszek szampana.

— Pan nie pijesz, monsieur le comte? — zapytał, zwracając się do sąsiada.

Rodoliński siedział przy nim z iście angielską miną, spiący, znudzony, bał się puścić cugle swej naturze, aby nie zdradzić hulaczych nawyknień, chciał wytrwać w swej roli do końca. Pierwsze kroki nie powiodły się, tem więcej strzedz się należało.

Trudności zagrzewały go, na dziś jednak nie było co robić — odpowiedział więc Lolowi:

— Mam nieznośną migrenę — czekam tylko na pana, aby się wymknąć co prędzej.

— Ja toż samo, służę panu w każdej chwili.

— Wyniesiemy się naturalnie po angielsku, — ja tak zawsze! Nikt nas nie zobaczy, zmykajmy; oto wstają od stołu.

Poruszono się tylko, następowała najnudniejsza część wieczoru: toasty.

Zwalniamy z nich naszych czytelników, dodamy tylko, że po zniknięciu królowej balu, Mimi, maître de ceremonie, Lola i hrabiego — zabawa szła leniwo, ospale.

Powoli, salony zaczęły się wypróżniać, gwary ucichły, aż wreszcie w sali pozostała tylko pani domu sztywna i napuszona, jak na początku wieczoru i mąż jej zacierający ręce wesoło.

— A co, pysznie się udało — wołał — pękło kilkaset rubelków, ale co w mieście powiedzą; ten kupiec z przeciwka, wścieknie się ze złości, gdzieby ten żydek zebrał takie towarzystwo. Aj! aj! ten prawdziwy hrabia to ich w oczy kłuje! Niech wiedzą, co znaczy konsul trebizondzki! — Napuszył się, ręce włożył do kieszeni i począł przechadzać się po pokoju, spoglądając z zadowoleniem na żonę.

— Bo też komu z nich równać się z nami — wycedziła pani — hrabia powiedział mi, że zna tylko dwie dystyngowane personarze w naszem mieście: to jest baronową Lipską i mnie. Co to za miły *kozeur*. Moja suknia aksamitna robiła furorę, a brylanty... myślałam, że mnie zje bankierowa Tunkelkraut. Cieszę się, że Rose w świat wprowadziłam, czas na nią; wprawdzie ma dopiero lat 17, ale jest tak bystrą, tak żywą, żebym jej długo rady dać nie mogła. Wiesz jak mam słabe nerwy. Przytem trzeba się spieszyć póki świata nie zna i na mój wybór się zgodzi, elle est

si drôle, gotowa broń Boże wyemancypować się jak ta Cesia.

— A tak, tak, wiesz duszko nawet myślałem, ten Fuchs by mi pasował. Wprawdzie myśleliśmy o nim dla Cesi, ale już ja to przerobię. Mówiono dziś dużo o nim, on daleko zajedzie. Wierz mi, ja mam dobry nos.

— Ale rodzina, rodzina strasznie commune — ze skrzywieniem, niecierpliwie przerwała konsulowa.

— Trudno, moja duszko, teraz wszyscy arystokraci goli, a moje kapitały zajęte obecnie w pewnym interesie, doktór zadowolni się rentą, a przytem taki świat przewrócony, że mądrość imponuje tak jak pieniądz i urodzenie, ja muszę mieć kogoś mądrego w mojej familii, ten doktór mówi, to pisać tylko. Aj, aj! Wiesz przecież, że hrabia wydał córkę za adwokata, dla tego tylko, że on uczony. Trudno, trudno, taki zwyczaj i ja chcę być postępowy i popularny, to wszystkim się będzie spodobać, ślicznie byśmy się spisali.

Pomyślemy o tem, a teraz — dobranoc!

— Dobranoc!

II.

Na drugi dzień zrana Cecylia Mińska, siedziała w swoim pokoju z książką i czytała, kiedy drzwi się otwarły powoli i ostrożnie.

Do pokoju wsunęła się kobieta nizkiego wzrostu, w dużych okularach i jasnych włosach, a wiecznym uśmiechem na ustach.

— Jak się kochana pani miewa, wracam z kantoru, ojczulek jak zwykle zajęty, zbiera pieniążki dla córki, przysłał mnie do panienki na górę.

— Proszę niech pani siada, jaki możesz mieć do mnie interes, — chłodno, trochę wyniośle, zapytała panna Mińska.

— O! o! niech się panienka nie unosi! ja broń Boże nie mam interesu, albo ja na pani chcę zarobić, czy co? ja kocham panią, jak własne dziecko, dlatego właśnie przychodzę szczerze się spytać co pani myśli o tym doktorze Fuchs? On taki porządny człowiek, on już jest ordynans w szpitalu — ma 3000 rs. rocznego dochodu. Co to za partya! *ein zajdener Junge.*

— Czy on tu panią przysłał?

— No! po co miał przysłać, albo ja sama nie wiem co on się stara, albo ja mu pierwsza nie zaproponowałam panienki, i tatko nie miał nic przeciwko temu, aby się paniusia zgodziła. Moja kochana pani, już czas. Po co to siebie męczyć i drugich, powiedz mi pani otwarcie i stanowczo.

— Wczoraj pierwszy raz widziałam pana doktora, trudno mi było dostrzedz więcej jak to, że jest rudy, nosi ciemne binokle i nogi stawia niezupełnie w pierwszej pozycyi, przytem nie grzeszy zbytnią skromnością.

— Pani to wszystkich wykpi, jak się podoba, ale ja dobrze radzę. Apollo on nie jest, ale na te ciężkie czasy bardzo dobry. Nie weźmie go panienka, to go zaraz rozłapią, oj! oj! co mnie matek o niego prosiło!

— Nie mam nic przeciwko niemu, musiałabym go bliżej poznać.

— Romanse! romanse! upewniam szanowną panią; co go pani na egzamin weźmie, czy co? On bardzo mądry, ach jaki mądry! ale ambitny, szanuje siebie, on nie może bałamucić się na darmo i czas tracić na próżne konkury. Taki rarytas nie da się za nos wodzić, toby mu mogło do karyery zaszkodzić, taki wielki doktór! Pokornie proszę panienkę o coś stanowczego.

— W takim razie nie chcę trudzić tak znakomitej jak pan doktór osoby, ani zabierać mu tak *drogiego* czasu. Po tem, co mi pani powiedziała, każde przez niego wyrzeczone słówko, uważałabym za dług, któryby sobie z sumy posagowej strącić pragnął. Wczoraj czytałam w „Kuryerze,“ jak podobny mu

obywatel wytoczył ojcu panny proces za nieudane konkury, za stracone korzyści. Boję się ojca mego wystawić na podobne koszta!

— Oj! jaka pani gorąca, wszystko przecież mówić można, już ja widzę co z tego nic nie będzie, pójdę do pani konsulowej, słyszałam, że oni mają na niego chrapkę.

— Życzę szczęścia i powodzenia!

— A dla kochanej paniusi mam całą listę, wybieraj: doktór, adwokat, kupiec, — i wyciągała z torebki papiery i fotografie.

— Niech się pani nie trudzi, dziękuję, nie chcę iść wcale za mąż.

— A hrabia? — spytała nagle swatka.

— Hrabia! zkąd to pani do głowy przyszło? Czyż już nie wolno rozmawiać dwom młodym ludziom bezkarnie? Mówiłam z nim, bo wiem przynajmniej, że to człowiek nie z naszej sfery, nie wystawia słów swoich jak weksel na wypłatę, możemy rozmawiać swobodnie.

— Oj młodość, młodość! egzaltacye! powiem pani tylko, że się mylisz. — Ale wnet jakąś myślą ożywiona wstała. — No, żegnam panią, przepraszam, że czas zabierałam, proszę się nie gniewać, każdy człowiek żyć musi, polecam się tacie, jak państwo będą potrzebowali, jestem zawsze na usługi: Franciszkańska nr. 6, zastać mnie można od 5 do 7. Adiu, adiu, całuję rączki. — I kobiecisko żywo wstało, zebrała starannie swe manatki, a w drodze mruczała do siebie — to dobrze, żem się z hrabią nie wyrwała, byłby interes stracony, [illegible] myśli, że się przypadkiem niby

zadurzył. Oj wpadnie wróbelek w sidełka, przyjdzie na moje podwórko.

Cesia rzuciła za odchodzącą spojrzenie pełne pogardy.

— Tak więc wygląda miłość, szczęście, małżeństwo, moje dziewicze marzenia, ideały moje — więc to jest życie, — i piszą o postępie, wolności, głoszą, że handel ludźmi zniesiony! Boże mój! czy świat ten taki zły, czy ja taka przesadzona! och jak mi smutno! jak strasznie pusto i głucho dokoła! W sercu mojem drga tyle dźwięków tajemnych, tyle pragnień, taka chęć ukochania duszą całą kogoś, coby mnie pokochał nawzajem, coby mi harmonią odpowiedział na pieśni bez słów, przepełniające mi serce! Kochać, mieć cel jakiś, żyć dla ukochanego, uszczęśliwić go, co za rajskie uczucia!... Precz z niemi, o mnie nikt nie dba, nikt prócz starego ojca — wszyscy polują na mój posag... co za poniżenie! Jestem brzydka, gdybym nie była bogatą, niktby na mnie nie spojrzał... Cóż mi zostaje? nauka, która myśli me zapełnia, i dłoń przyjacielska, którą z zaufaniem ścisnąć mogę.

Dzwonek zbudził ją z marzeń...

— To on! — wykrzyknęła.

Do pokoju wszedł młody, przystojny blondyn, o czole poważnem, myślącem, o wejrzeniu bystrem a łagodnem, uścisnął serdecznie dłoń Cecylii.

— Tak długo dałeś Pan na siebie czekać! dochodzi dwunasta, to bardzo niegrzecznie!

— Nie miałem wcale zamiaru przyjść: sądziłem, że pani po balu znużona, rozmarzona, nie będzie w usposobieniu do lekcyi.

— O przeciwnie, panie Gustawie! po każdem bliższem zetknięciu się z etykietą, z próżnością, z ambicyą, z arogancyą i materyalizmem naszego świata, wracam do pracy ze zdwojonym zapałem a szczególniej do nauk przyrodzonych. One odnajdują harmonię, wyższe prawa i najpiękniejszą ze wszystkiego, najwięcej dla mnie upragnioną *prawdę*. Zanim oddałam się nauce, życie płynęło mi tak czczo i pusto — gospodarstwo załatwiałam przed śniadaniem, do gry nie miałam zdolności, towarzystwa licznego nie odwiedzam. Cóż mi więc pozostaje?

— Niedługo jednak i to panią znudzi i zażądasz czego innego, co zapełni wszystkie dni i życie całe. Od pewnego czasu obawiam się ciągle, że stracę lada chwilę, najdro...... zająknął się i poprawił —-jedną z najpracowitszych uczennic moich.

— O, nie mów pan tego! te lekcye i przyjaźń pańska to są najcenniejsze życia mego skarby. Czy pamiętasz jaką byłam przedtem smutną, ironiczną, zgorzkniałą. To czego mnie uczono — nie wystarczało mi — to, w co mi wierzyć kazano, nie wydawało mi się godnem wiary. Pan dopiero otworzyłeś przedemną świat prawdy i piękna.

— O pani! gdybym ja powiedział czegoś mnie w zamian nauczyła! ale zapominam, że przyszedłem na lekcyą — o czem mówiliśmy ostatnim razem?

W tem znów dał się słyszeć dzwonek.

Gustaw brwi zmarszczył — Cesia podniosla się z niecierpliwą minką.

— Niema mnie dla nikogo — zawołała na służącego. Ale już było zapóźno: do salonu wszedł hrabia z twarzą rozpromienioną i wymuskanemi wąsikami.

— Pardon! Pani wybaczy, że skorzystałem tak prędko z zaproszenia jej ojca i przychodzę tak wcześnie... pragnąłem zastać ją *koniecznie*. Ale może przeszkadzam. Widzę, pani ma gości.

— Pan Gustaw Czulski, hrabia Rodoliński,— przedstawiła Cecylia i wskazała na stojące obok krzesło.

— Gustaw Czulski! Gustaw Czulski! coś sobie przypominam. Ach je le tiens, tak c'est cela, czy pan czasem nie jesteś owym studentem, którego poznałem w Zakopanem?

— Tak, mój szanowny wybawco, tylko już nie studentem szczęśliwie.

— No cela va sans dire, człowiek ukończony z karyerą zapewne świetną.

— To mniej — odparł z uśmiechem Czulski — jestem nauczycielem gimnazyalnym, a jak pan widzisz i prywatnym.

Cesia pragnęła odwrócić rozmowę od drażliwego tematu.

— Czy nie będę niedyskretną, pytając się dla czego nazywasz hrabiego wybawcą, panie Gustawie?

— Owszem pani: Nie wiedziałem wprawdzie, że *hrabiemu* życie zawdzięczam, — dodał z naciskiem.

— Podróżuję zwykle incognito.

— Prawda, nie pytałeś mnie o kwalifikacyą, skoro mi wybawczą podałeś rękę, było to tak:... I z szlachetnym entuzyazmem opowiedział zdarzenie, wzmiankowane w liście hrabiego.

Rodoliński przerywał mu skromnie, w gruncie — rad był z tej bohaterskiej roli. Samo spotkanie zresztą, było mu wcale nie na rękę, Gustaw mógł zdradzić sposób jego życia, wprawdzie przyrzekał mu on

dozgonną wdzięczność, a tacy szaleńcy jak Gustaw gotowi nawet do wypełnienia podobnych przyrzeczeń: Cette race là, il n'y a qu'à savoir s'y prendre, pomyślał. Cesia przejmowała się żywo opowiadaniem, drżała nad niebezpieczeństwem, jakiemu mógł uledz Gustaw... Zbliżyła się do hrabiego i ścisnęła go serdecznie za rękę.

— Pan pięknie postąpiłeś, szlachetnie, Dzięki ci, dzięki.

Hrabia nie wiedział czy czułość ta była zachwytem nad jego osobą, czy troskliwością o zdrowie młodzieńca. Stracił swoją werwę przygotowaną i po krótkiej rozmowie wstał; Czulski podniósł się również.

— Czas mój przeszedł, spieszę do gimnazyum, jutro niedziela, jeżeli pani pozwoli, mogę stratę powetować.

— Proszę, bardzo proszę! — słowami, tonem i spojrzeniem błagała Cesia.

Na ulicy Rodoliński zmienił ton; pragnął wyzyskać położenie, zwrócił się do Gustawa, dając mu delikatnie do zrozumienia, że dla powodów czysto osobistych pragnie, aby sposób jego życia był na czas jakiś tajemnicą.

— Przyrzekałeś mi wdzięczność; wiem, że jesteś człowiekiem honorowym, uważam, że masz wpływ wielki nad swą pupilką, entre nous sois dit, zależy mi trochę na tem, abym był dobrze widziany, un caprice, voyez-vous, ale zależy mi na tem. Pan mi pomożesz, wszak prawda? Ale dla czegóż zbladłeś tak nagle?

— Zimno mi, dreszcz, ból głowy... Kiedy już jesteś hrabia tak szczerym, powiedz mi czy masz

jakie zamiary względem panny Cecylii — słowa te wyjąkał z trudnością.

— Pytanie co najmniej naiwne, ale jesteśmy w tak wyjątkowem położeniu. Przyznam się panu, że choć rodzina i majątek trzymają mnie po za tą sferą, zbliżyłbym się do tej żydóweczki, nie ładna, ale ma quelque chose de fin — a przytem une fois comtesse, oskrobałaby się do końca. Wszystko mi sprzyja, ale panna rozromansowana, tak przydałoby mi się trochę pochwał z boku.

— I *mnie* pan do tego chcesz użyć, ależ panie ja jestem jej przyjacielem! Ja ją uwielbiam!

— D'autant mieux, będziesz działał dla jej dobra, wierz mi, wszystkie semitki, najidealniejsze nawet, marzą o liberyi i karecie. A zatem c'est convenu, za to une fois marié, dostarczę panu lekcyj w najwyższej arystokracyi...

— Żegnam pana, oto moje gimnazyum — wyrzekł Gustaw prędko, skręcił w boczną uliczkę, przeleciał szybko trzy piętra i wszedł do skromnie umeblowanego pokoiku. Był blady i wzruszony. Gorączkowym krokiem przechadzać się zaczął, rękami przecierał oczy, to znów chłodził niemi rozpalone czoło — nie wiedział co się z nim dzieje. Zbliżył się do stołu zasypanego książkami, otworzył leżącą na nim teczkę, wyjął z niej fotografię, do ust przycisnął — szukał dalej.

— To moje skarby najdroższe! jak na teraz pamiątki tylko, — wyszeptał, kładąc na biurku, zwiędłe, kwiatki, kilka wonnych drobno kreślonych bilecików, rękawiczkę, chustkę batystową.

Każda z tych drobnostek przypominała mu pewną roskoszną chwilę, opowiadała dzieje serca jego, zatopiała w marzeniu.

I spoglądał na nie długo rzewnem spojrzeniem — wreszcie, jakby powziąwszy myśl jakąś stanowczą, usiadł przy biurku i pisać coś zaczął pospiesznie.

III.

Jeżeliście się nie znudzili dotąd i wiedzieć pragniecie, co się dalej stało z naszemi wspólnemi znajomemi, pójdźcie ze mną do ogrodu Saskiego.

Dzień świąteczny, pogoda prześliczna, godzina południowa — pora do przechadzki najodpowiedniejsza. Tłumy najróżnorodniejszego kalibru zapełniają wszystkie aleje. Ileż najrozmaitszych typów, charakterystycznych figurek tu się przesuwa. Wszystkich znajdziecie: tu najgodniejsze pożałowania matki córek na wydaniu, wystawiają swój towar na sprzedaż, powabne panny unoszą z gracyą swe treny; młodzież z binoklami na nosie impertynencko, szyderczo spogląda dokoła.

Jedni przechodzą tu *widzieć*, inni *być widziani*; inni jeszcze w pocie czoła zarabiają na upragniony apetyt do obiadu. Drobna garstka, zapewne emerytów, poszukuje tu świeżego powtetrza... Naiwni! — W alei literackiej, niedaleko od placu, siedzi piękna Mimi z matką. Ubrana według ostatniej mody: piękny kostyum bronzowy matlassé, niesłychanie wąski, odznacza jej piękne kształty; kapelusik od tyłu stroi jej główkę. Uśmiechnięta słodko, okiem żywem spogląda dokoła.

— Dziecko moje kochane, ty jeszcze jesteś trochę blada — mówi do niej półgłosem pani Klatschmacher — zaklinam się, bądź wesołą, wszyscy patrzeć się na ciebie będą, niech nie zauważą żadnej zmiany. Bo właściwie co mogło się stać lepszego? Powinnaś się cieszyć, że pryncypał Lola wysłał go za interesami do Berlina: jesteś wolną, zanim przyjedzie, zaręczysz się. Z jakim tryumfem spojrzysz mu w oczy, jako pani hrabina!

— Ale, mamo, już widzę, że z tego hrabiego nic nie będzie, tydzień temu był z pierwszą wizytą u Cesi, od tego czasu jej nie odstępuje. A na mnie ledwo spojrzy z pod oka. Wczoraj naprzykład, byłam ubrana w piękną suknię od Randeau, w żabocie od Hersego, śpiewałam swoje „cheval de bataille“: — Si vous n'avez rien à me dire, — a on nic, jak mur, jak skała — już mnie to wszystko strasznie męczy.

— Cierpliwości, mój aniołku, tyś nie przywykła do oporu.

— Nie, i dłużej tego znosić nie myślę: wolę już łysego Brylanta, przynajmniej mam go na skinienie, będę go mogła na sznureczku prowadzić. Zrobi co zechcę.

— No tak, ten jest pewny, sprytnie go sobie ujęłaś, podziwiam cię... Możesz go trzymać na bocznym planie, a próbować z hrabią.

— Trudno, on taki obojętny, a przytem słyszałam, jak mówił do Cesi, że lubi żyć tylko na wsi w swych dobrach. Piękna mi perspektywa karmić kury i gęsi, jak Zosia Mickiewicza!

— Jakaś ty dowcipna! — mówi z uśmiechem matka — co zechcesz, zrobisz.

— Myślę właśnie, że cela ne m'irait point. Stary mówi o Ostendzie, o wystawie wiedeńskiej,—ja muszę być na wystawie, moja mamo!

— Ale będziesz, będziesz, zasłużyłaś na to, tylko poprobój jeszcze hrabiego. Herszek prawi cuda o jego majątku.

— Cóż zrobię, Cesia go tak trzyma.

— Ach! właśnie chciałam ci opowiedzieć pyszne coup d'etat, — pani Salomea obejrzała się dokoła, nikt znajomy nie przechodził, nachyliła się do ucha córki i zaczęła półgłosem: — Wiesz, Katarzyna, nasza pomywaczka, posługuje u Gustawa. Poczciwe to i głupiutke stworzenie, ale dla miłego grosza wszystko zrobi... Biedactwo ma ślepą matkę... Wydobyłam dziś z niej, że często nosiła listy od Cesi do Gustawa, że pan jej ma całą paczkę podobnych szpargałów.

Ja zawsze mówiłam, że ona tylko udaje skromnisię, teraz wszystko na jaw wychodzi. Niechby hrabiemu podsunąć takie pismo własnoręczne szanownej kuzyneczki. Taki dumny pan! arystokrata! Kompromitujące aż miło!

— Tak, ale moja mamo, Kasia do Cecylii tak przywiązana: eksentryczna dziewczyna, wdała się w konwersacye z kopciuszkiem, czytać ją uczyła... A przytem to byłoby może niełnadnie.

— Co tam niełładnie! Czegóżbym ja dla ciebie nie zrobiła, moja duszko! Co zaś do tych tam kuchennych gustów panny bankierówny, nic nam nie szkodzą. Kasia cielątko, nie domyśli się wcale, że to idzie o jej panienkę, przytem pieniądze na tym świecie... No zresztą już ja to urządziłam, i teraz w tej właśnie chwili może... ale... pst, oto się zbliża pani konsulo-

wa. A to dopiero szal turecki przywdziała, aż w oczy bije, istna heca — takie tło — doktorek z niemi... Coś się święci, muszę się dowiedzieć... Chodźmy na spotkanie.

Poszły. Aleja wązka. Za chwilę nastąpią powitania.

— Jakże się kochana bratowa miewa — rzekła pani Klatschmacher — młoda i piękna, a Rose, istna różyczka, — chce ją pocałować, pani konsulowa podaje końce arystokratycznie wychudłych palców, ubranych w obcisłe o arystokratycznie zgniłym kolorze rękawiczki:

— Comment ça va u was?

Doktór Fuchs ukłonił się sztywno.

Rose patrzała na Mimi, jakby jej miała tysiące rzeczy do powiedzenia... Mimi jednak została przy paniach. Weszli do alei owocowej, bo literacka była dla pani konsulowej za mało „dystyngowaną.“

Doktór Fuchs z Różą szli sami naprzód.

— Jestem więc naprawdę narzeczoną! — szczebiotała wesoło Rose — teraz już będzie mi wolno wszystko czytać, nawet to, co mama zawsze na klucz zamyka. Prawda panie? dotąd wolno mi było czytać tylko powieści angielskie. Ach! nudne... Wprawdzie nasza bona francuzka dawała mi takie straszne rzeczy pod sekretem... Ach! to mi się wymknęło! Pan nie powiesz mamie?

— Ja, pani? Nie, możesz być zupełnie spokojną— odrzekł poważnie doktór, bawiąc się binoklami. Był zaambarasowany. Nie wiedział, o czem mówić z tą milutką osóbką, która za kilka miesięcy miała być jego żoną. Cieszył się jej naiwnością, ożywieniem,

uśmiechał pobłażliwie na jej wymagania i dowcipy, ale ot i wszystko. Serce jego pozostało zimne, obojętne.

Czyż było ono takiem zawsze? Nie — i jemu w Arkadyi piękny dzień zabłysnął. Będąc studentem jeszcze, pokochał dziewczę biedne, starsze od niego — napotkali przeszkody — nie zwalczył ich, a teraz... on sam z ironią wspominał o „patologicznem zboczeniu swego serca.“ Oddał się pracy. Syn biednego handlarza, pragnął dojść do znaczenia, pieniędzy, sławy. To go absorbowało. W dzieciństwie znosił wiele bardzo upokorzeń, cierpiał za siebie, za ojca, którego kochał. Był dumny, był mściwy. Chciał odwzajemnić się za miotane nań obelgi, pogardą płacić za pogardę, błotem z pod kół swej karety obryzgać tych, co nim pomiatali. Idące koło niego dziecko miało go wprowadzić w ten świat znienawidzony, a upragniony, utorować stosunki z pierwszemi domami, wznieść majątkowo...

Była ona środkiem w dopełnieniu celu, do którego szedł prosto i śmiało. Wdzięcznym jej był tak, jak rzeźbiarz swemu dłutu, operator narzędziu przyczyniającemu się do śmiałej operacyi.

Czuł, co jej był dłużnym, do czego się zobowiązywał. Wypełni on to święcie, wszelkim wymaganiom światowym zadosyć uczyni. Teraz, naprzykład, słuchał jej dobrotliwie, przygotowany z góry na ciężkie terminowanie w roli narzeczonego.

Mówili o przyszłości, o *wspólnej* przyszłości, a serca ich nie uderzały silniej, oczy nie zachodziły łzami szczęścia, nie promieniały zapałem, skoro wymawiali te słowa: *Nasz dom — po naszym ślubie.* W jej oczach

błyszczała radość, nadzieja i pewne uczucie tryumfu. Nie był to wyraz szlachetnego, świadomego siebie szczęścia i pełnej ufności, wiary w przyszłość...

Ale zkądże się to wszystko wziąć mogło w 17-letniej główce konsulówny? Czy mówił z nią kto kiedy o życiu, o małżeństwie, o posłannictwie anielskiem kobiety, o harmonii serc? Przecież to by było w wysokim stopniu niestosowne i mauvais genre. Fi donc!

Pani konsulowa nie darowałaby sobie tego.

Rose była wesoła, trzepiotała się jak dzieciak.

— Ach to będzie ślicznie! Panie narzeczony, ja zawsze tak marzyłam, buduarek różowy cały capitonné, a w salonie meble mahoniowe, jak u mojej koleżanki Wikci. Ach ta Wikcia! Wyobraź pan sobie, dwa tygodnie temu, mówiła mi, że ja dziecinna. Ho! ho! zapłacę jej. Pan nie pozwoli mnie tak nazywać — to okropne!

— Tak ładnie pani, skoro się tem oburzasz, że sam bym ci to powiedział.

— No! bardzo proszę! Ale powiedz mi pan nareszcie, czy będę mogła czytać, co zechcę?

— Skoro pani zostaniesz moją żoną, będziesz czyniła, co ci się podoba; zbyt dobrze jesteś wychowaną, zbyt dystyngowaną masz matkę, abym potrzebował się mięszać do tego. Zresztą jestem bardzo zajęty: o 4-tej wracam na obiad, od 6 do 7 przyjmuję, potem muszę coś czytać, pisać, od czasu do czasu bywać na posiedzeniach Towarzystwa lekarskiego.

— To pięknie! Ale co ja będę robiła cały dzień?

— Co zechcesz: spacerować, gospodarować, odwiedzać przyjaciółki, bylebyś pani nie czytała dużo, bo pięknych oczek szkoda.

— Dziękuję, ale przecież wieczorem będziemy razem?

— Najczęściej.

— I będziemy przyjmowali co tydzień gości, pour fixe, jak Fipcia. Ach! ja lubię gości! Ale... ale — i na wszystkie pierwsze przedstawienia będziemy chodzili? Dobrze?

— Może pani to kontraktem ślubnym objąć zechcesz?

— Kontrakt! to będzie zabawne! podpisać się będę musiała... po polsku: Róża-Klementyna, dwóch imion Mińska. Pan nie wiedział, że ja mam dwa imiona?

— Niewiedziałem — odparł doktór z lekkim marsem. Zaczynała go niecierpliwić ta rozmowa; ochoczo więc skorzystał z odwołania pani konsulowej.

Róża zawołała na Mimi:

— Dla czegoś szła tak daleko?

— Zakochanym nie należy przerywać — odrzekła Mimi roztargniona.

— Ach! zakochanym! Czy ty myślisz, że ja tak bardzo zakochana? Słyszałam, jak mama mówiła do ojca: cela viendra plus tard. Zawsze to bardzo przyjemnie być zaręczoną. Ah! jaki ten Fuchs mądry! Czasami powie kilka zdań, a ja ani słowa nie rozumiem. Dumna jestem z takiego męża. No, mógłby być trochę mniej poważnym, ale mama mówi, że wszyscy panowie „comme il faut,“ są tacy. Ah! jak to się prędko zrobiło! przyjść do siebie nie mogę.

— No jak? opowiedz mi proszę, my domyślałyśmy się tylko.

— Mama mówi, że się tak zwykle dzieje w lepszych familiach. Powiadam ci, pięć dni temu przychodzi rano do mamy jakaś pani z interesem osobistym. Każą mi iść do swego pokoju i rozprawiają tajemnie. Słuchałam pode drzwiami: „renta...“ „posag...“ „stanowisko...“ obijają mi się ciągle o uszy. Posłano po ojca. Coś podejrzanego! myślę sobie. Wieczorem wraca ta sama osoba. Potem ojciec z mamą zamykają się. Pierwszy raz rozmawiali tak długo i cicho... Nazajutrz przychodzi znów ta pani, stryj z jakimś staruszkiem — nowe konferencye.

Ojciec mię głaszcze i całuje. Mama taka słodka! Pozwala spać do 10-tej. Przy obiedzie dostaję czarną kawę. Mustrują mię, każą zrzucać tę beżowę codzienną sukienkę, której nie znoszę... Nie wiem, co to wszystko znaczy, ale ubieram się pięknie, fryzyerka mnie czesze. Aż tu mama się odzywa:

— Dziś wieczorem będzie u nas doktór Fuchs, bardzo wykształcony i dystyngowany człowiek, możesz z nim rozmawiać, ile ci się podoba, staraj się być grzeczną dla niego.

Pocałowałam mamę w rękę — Rose, nie tak mocno! krzyknęła.

Przychodzi doktór, taki przyjemny, uprzedzający! Oglądamy albumy; ja mu gram, deklamuję, wszystko mu się podoba. Ach! tak się bawiłam! Taki dorosły pan mnie emablował! To było w niedzielę. W poniedziałek mama się pyta, jak mi się podoba. Ach, bardzo! — mówię i rumienię się. Wieczorem był także, i tak codziennie. Co rano znów przychodziła ta pani.

Wczoraj siedzę sobie w pokoju, męczę się nad strasznie nudną „composition“ do panny Klementyny, kiedy mama woła mnie do siebie. Prawi coś szumnie, poważnie, drżę cała... Zrozumiałam tylko, że ma oświadczyć się mi pan Fuchs. Zlękłam się, płakałam, niewiedziałam, co mówić. Przyszedł ojciec, perswadował. Poszłam się ubrać. Wypracowanie rzuciłam na ziemię, tak aż się kartki rozleciały po całym pokoju. Już nie będę pisać do tej przebrzydłej francuzicy, do tej starej pedantki! Nikt się nie ma prawa wtrącać do mnie. O drugiej siedziałam w buduarku nad książką, ubrana w swoją piękną, zieloną suknię. Ach! jak mi serce biło! Wchodzi pan Samuel. Mamę odwołują. Ach! nie wiem co się ze mną działo! On siada, podobnie jak ja zmięszany, bierze mnie za rękę:

— Panno Różo, są w życiu naszym okoliczności... które... w których... — jąka się, binokle mu spadają z nosa. — Hi! hi! hi!... chciałam mu w twarz parsknąć śmiechem, taki był brzydki, ale on mówił dalej:

— Wybacz memu wzruszeniu, chcę pomówić poważnie, w bardzo ważnej dla mnie kwestyi, dla pani także.

— Cóż takiego?

— Czy pani tylko będziesz dość łaskawą? Niesłychanie by mi było przykro być jej natrętnym. A jednak mam wielką prośbę. Pani... panno Różo...— Coś mówił jeszcze, pocałował mnie w rękę — teraz już ja się zarumieniłam jak pensyonarka.

— Pan wybaczy, trzeba się namyśleć... Co mama na to powie?

Mama weszła. Niewiem, jak się to stało: zanim przyszłam do siebie, na palcu moim znalazł się ten oto pierścionek, na ręku jego moja panieńska obrączka. Ach! tyle mówiłam! zmęczyłam się, wyręcz mnie.

— Powiedz mi jeszcze — spytała Mimi — jaką będziesz miała jutro toaletę? Wszak to „Gratulier-Sonnabend!“ Wszyscy ci przyjdą winszować!

— Randeau mi robi sukienkę. Powiadam ci, cukiereczek: leży jak ulana, różowa, jedwabna; z przodu będzie miała draperye tak i długi wolancik.

— Rodzaj princesy! to najmodniejsze! — wtrąciła Mimi — a we włosach, a na szyi co?

Rose chciała jej odpowiedzieć, ale w tej chwili zbliżyła się Cecylia z hrabią i towarzyszką, — zaczęły się wzajemne przywitania.

Mimi zaczęła oświadczać gorącą przyjaźń ku Cesi, opowiadać, jak za nią tęskniła, przytem rzucała ukradkowe a pełne czaru spojrzenia na hrabiego, trzpiotała się, dowcipkowała.

Cesia jednak była chłodna, roztargniona.

Hrabia zaś zajęty tak silnie panną bankierówną, że biedna Mimi cofnęła się upokorzona do Róży. Tak więc, choć wszyscy razem szli w jedną stronę, Rodoliński został przy boku p. Mińskiej.

— Je ne vous comprends pas. Pani od kilku dni wydajesz się tak apatyczną, nawet dawną ironią mnie nie raczysz. Głowę tracę, a żadnej słabej strony wynaleść nie mogę... Ach! niema nic gorszego, nad podobną obojętność. Przytem pani jest tak dzisiaj bladą. — W duszy jednak sądził, że to są bardzo pocieszające dla niego objawy kiełkującego uczucia;

spojrzał zatem na nią wymownie, wierząc w potęgę swych ciemnych oczu.

Cesia w tej chwili zarumieniła się silnie.

— Ach panie hrabio! jakiś pan łaskaw! Dziękuję, dziękuję, jesteś nadzwyczaj przyjemny — wymówiła bardzo głośno, tonem dobitnym i kontrastującym, trochę z treścią wypowiedziaoych komplimentów.

Hrabia się zdziwił, przywdział monokl i spoglądał z góry. Spostrzegł grzeczne zdjęcie kapelusza, dalej postać Czulskiego, który minął szybko towarzystwo:

— Pani, zdaje mi się, nie widziała, nie odkłoniła się. Przechodził właśnie pan Gustaw.

— A pan Gustaw! nieuważałam. Pau Gustaw w Warszawie! To dziwne! Kilka dni temu przeprosił mnie krótkim bilecikiem, że lekcyi dawać więcej nie może, że nagłe, ważne, familijne interesa powołują go do Lublina.

— Tam do licha! pomyślał hrabia, pozbyłem się silnego nieprzyjaciela; trzeba, aby przepadł w jej pojęciu z kretesem. Zwrócił się zatem do Cesi, z ironią akcentując każde słowo:

— Ważne, no tak, w jego wieku; czy familijne, to czas pokaże. Idzie tu wprawdzie o powiększenie familii... Słyszałem, że wuj Czulskiego wyszukał mu jakąś piękną żonkę i korzystając z jej obecnego pobytu w Lublinie, przysłał po kochanego krewniaczka.

— Tak, to bardzo naturalnie! — odpowiedziała Cesia głosem zmienionym, Dziwię się, że mi to do głowy nie przyszło. Ale bo co też ja mam za głowę! Zapomniałam nawet, że na drugą godzinę zamówiła się do mnie przyjaciółka i że powinnam już być w domu. Żegnam państwa.

— Pani się tak spieszy, nie pozwala się nawet odprowadzić. Kiedyż przyjść mogę wykładać dalsze teorye? Wierz pani, to są zbawienniejsze nauki niż tamtego nauczyciela.

Cesia nie słuchała go prawie.

— Jutro, jutro, w sobotę — odrzekła szybko, jakby się go pozbyć chciała. Pożegnała prędko resztę towarzystwa. Z objęć pani Klatschmacher, która ją zatrzymywała i zasypywała pytaniami, wyrwała się prawie gwałtem.

— Do widzenia! do widzenia! — wołała machinalnie. Policzki jej płonęły gorączkowo. Biegła szybko. W drodze rzekła do towarzyszki:

— Do domu jaknajprędzej, do domu! mam szaloną migrenę...

— Pani zwykle tak cierpliwa i spokojna, pani cierpieć musi bardzo — wtrąciła towarzyszka.

— Oh cierpię! cierpię! — i przyspieszyła kroku. Blizko domu zatrzymała się.

— Kasiu! co ty tu robisz? czy do mnie idziesz z listem od pana Gustawa? Powiedz, ach powiedz, ale czegoś taka zmięszana? Kiedy twój pan wyjeżdża? Nosisz widzę jakieś papiery, to dla *mnie*, pewno dla *mnie*.

Dziewczyna stała z oczyma spuszczonemi. Jedną ręką miętosiła róg od perkalikowego fartuszka, drugą chowała pod chustkę z małem jakiemś zawiniątkiem.

— Ja, panienko, nic, doprawdy nic. Pani Klatschmacher, nie — pan Gustaw, nie — doprawdy nic. Nie wiem ot, czego panna odemnie chce, czy panienka chora, czy co?

— Przepraszam cię moja kochana, wstydzę się mej gwałtowności. Myślałam, że idziesz do mnie, ale choć nie masz interesu wstąp, opowiedz mi co się z tobą dzieje. Jak się ma twoja poczciwa matka?

— Oh strasznie chore biedne moje matczysko.

— Nie macie doktora?

— A bo my to wielkie państwo, ot przychodzą baby, zażegnywają, wczoraj to ci spaliły koszulę, i nic, aż człek głupieje. Panna dobra jak anioł, pan Gustaw także, jak mi Bóg miły, a pani Klatschmacherowa, to co? ale pieniądz dla mojej matki...

— Dziewczyno, co pleciesz? zwaryowałaś chyba?

— Nie, panno ukochana moja, ale taki przypadek, istny palec boży. To widać Matka Najświętsza tak zrobiła, że mnie panna spotkała, może się co złego stać mogło. No ja wszystko wygadam, ale niech się panna na mnie nie gniewa. — To mówiąc wyjęła teczkę Gustawa i opowiadać zaczęła, jakim sposobem pani Klatschmacherowa namówiła ją do wykradzenia papierów, jak się teraz boi, i nie wie, co robić.

Uważała sobie za obowiązek rozpłakać się i opowiadać o swej potrzebie pieniężnej.

Czy Cesia ją słuchała?...

Ona trzymała w ręku zeszyt zatytułowany „Mój dziennik.“ Spojrzała na ostatnią kartkę i wyczytała co następuje:

„Jak cierpię! biedny, nieszczęśliwy, szaleniec! Zimny papier, to mój powiernik jedyny... Gdybym do niej napisał... gdybym jej wypowiedział miłość moją... ostrzegł przed grożącem nieszczęściem?... Ten łotr bezczelny chce ją opętać w swe sieci. Boże! związa-

ny jestem honorem, co czynić? Jakiem prawem mięszać się mogę do jej losów? Czem jestem dla niej?... Biednym nauczycielem, którego z litości słuchała, życzliwie... A ona dla mnie? — słońcem, życiem, światem całym.

Pokocha go. To znany lew salonów! Co za męczarnia!... Ach widziałem, jak czule ściskała go za rękę — zarumieniona. Już go kocha!

Wymagał, abym grał rolę nędznego swata, pomocnika kłamstwa i własnego nieszczęścia...

Uciekać ztąd jaknajprędzej! Tak stać się musiało. Do pracy, do pracy, to jedyny ratunek dla zbolałego serca! Przyjmę ofiarowaną mi posadę w gimnazyum w Lublinie."

Cesia połykała te słowa, pełne gorącego uczucia, świeżych łez, szlachetnej walki i zapału.

Twarz jej przed chwilą drżąca, zbolała, rozjaśniła się wyrazem nieokreślonego szczęścia, rozpromieniła się nadziemską radością.

Nie była to już ta sama co przed chwilą osoba. Dziewczę ironiczne, cierpiące, zwątpiałe, stało się kobietą kochającą, kochaną, świadomą swych uczuć, gotową do walki i poświęceń za nie.

Przyciskała do ust pomięte kartki, śmiała się, płakała nad niemi; wreszcie rzuciła się na fotel z głośnem łkaniem.

— O matko moja! Tyś mi chyba w niebie podobną wyprosiła chwilę! Co za raj otwiera się przedemną... Czy ja śnię, czy marzę?

On... on mnie kocha... *mnie*... Boże! jak tu nie oszaleć ze zbytku szczęścia!

Katarzyna nie wiedziała, co mogą znaczyć te wybuchy, przyniosła panience wody, chciała iść po ojca do kantoru.

— Dziękuję! Już mi dobrze — odezwała się Cesia. — Ach! Kasiu, gdybyś wiedziała, ile mi szczęścia przysparzasz.

— Co? ja, panienko?

— Dowiesz się potem. Słuchaj, kiedy Gustaw... — Tu się zarumieniła i poprawiła prędko: — Kiedy pan Gustaw Czulski odjeżdża?

— Dziś wieczorem. Właśnie przy pakowaniu rzeczy miałam ściągnąć te papiery.

— Słuchaj, idź ty do niego, powiedz mu... Ach! nie... nie... nic mu nie mów, albo wiesz co, poproś aby zaraz tu przyszedł, pilny interes, rozumiesz... ani słowa więcej... leć... leć, masz tu na dorożkę. Ach! spiesz się tylko moja droga!

Służąca wybiegła. Cesia pozostała, przetarła ręką czoło.

Czy ja tylko dobrze zrobiłam? — pomyślała. On tu będzie za chwilę, usłyszę z ust jego te słowa, które skreślone na papierze dreszczem rozkoszy wstrząsają całą moją istotą.

Nie mam matki, która doradziłaby mi co powinnam uczynić.

Ach! czy tylko przyjdzie?

Cesia spojrzała uważnie i przeciągle w lustro.

— Jak ja mu się w takim stanie pokażę?—szepnęła, potem przemyła oczy, poprawiła włosy, suknię i znów rzuciła badawcze, pytające spojrzenie w zwierciadło.

— Czy on może mnie kochać jednak?

Lustro odpowiedziało: może — bo uśmiechnęła się łagodnie. Zaczęła chodzić po pokoju, ustawiać, porządkować. W tej jednej chwili nauczyła się sztuki kobiet kochających, które każdym ruchem, czynem, staraniem o otaczające przedmioty, najmniejszym szczegółem chcą mówić o swem uczuciu.

Usiadła, wzięła znów kajet do ręki: rysowały się w nim wszystkie fazy ich stosunku; uczucie przechodzące stopniowo od znajomości, sympatyi, przyjaźni— do miłości.

Cesia naturalnie odczytywała ciągle strony ostatnie, zdawało jej się, że nigdy nic równie pięknego nie czytała, była tak upojona, wzruszona. Myślała... marzyła.

Co chwila budziła się z zadumy, każdemu uderzeniu zegara odpowiadało gwałtowne serca bicie. Zrywała się... wyglądała przez okno, przykładała ucho do klamki, wsłuchując się z natężeniem w najlżejszy szelest.

Wreszcie po kilku fałszywych alarmach i rozczarowaniach odezwał się silny dzwonek.

— To jego dzwonek! — zarumieniła się, zbladła, wyprostowała, spojrzała raz jeszcze w lustro.

We drzwiach ukazał się Gustaw. Był również blady, ale spokojny.

— Pani! — ukłonił się z wymuszoną powagą i trochę teatralnym szacunkiem.

Postanowił utrzymać się w roli surowej i honorowej.

Miał minę pierwszego kochanka, debiutującego na scenie prowincyonalnej.

Przez kilka chwil panowało milczenie. Stali na przeciwko siebie, dziwnie wzruszeni, pomięszani, ze spuszczonemi oczyma...

Oboje ulegali temu samemu wzruszeniu: serca ich biły harmonijnie, na ustach wrzały wyrazy gorącego uczucia, a jednak... milczeli.

Wreszcie Cesia wskazała mu stojące krzesło; podniosła oczy, spotkała się z płonącem spojrzeniem młodzieńca...

Nie milczeli już — choć usta były jak dotąd zamknięte, oczy obojga wypowiadały wymownie, gorąco — to, co czuli.

Zrozumieli się.

Gustaw bał się przerwać to wymowne milczenie, bał się, aby usta nie zaprzeczyły oczom, aby go nie zbudziły z rozkosznego marzenia, z czarownych nadziei. Zapomniał o wszystkich postanowieniach i zamiarach.

Cesia starała się być spokojną, zacząć jakąkolwiek rozmowę, wytłómaczyć powód swego nagłego zaproszenia, ale słowa plątały się.

— Wybacz pan, ja tylko... interes — mówiła jąkając się. Cóż mu mogła powiedzieć?... Wzięła nakoniec zeszyt ze stołu, zbliżała się do niego:

— Przepraszam — szepnęła tonem, który oznaczał: dziękuję.

— Mój dziennik!? więc pani wiesz o wszystkiem? i... i... — niedowierzał sobie, spojrzał na nią raz jeszcze.

Cesia podała mu obie ręce:

— I... kocham pana — wymówiła głosem tak cichym i stłumionym, że Gustaw prędzej odczuł, aniżeli usłyszał ten dźwięk uroczy.

A co potem? spytacie.

Potem, potem rozpoczęli rozmowę ożywioną, cudowną dla nich samych, rozmowę szczytną w swej prostocie, wzniosłą w swej prawdzie, wielką w swej drobiazgowości...

Śmieli się... mówili razem, nie mówili wcale, traktowali najważniejsze rzeczy z lekceważeniem szczęścia, najmniejsze drobnostki podnosili do wysokiego znaczenia, kłócili się, przepraszali...

Czasem jedno maleńkie słówko starczyło za tomy całe. Zresztą czy można, czy trzeba opisywać...

Któż skreśli ile rozkoszy tkwić może w cieniowawaniu zwykłego na pozór wyrazu, w spojrzeniu, w uśmiechu, w jednem *ty*, w jednem *tak*, lub w jakiemkolwiek słowie wypowiedzianem w odpowiedniej chwili?

A jednakże — są to wszystko błahostki dla osób trzecich...

*
* *

Kochany Alfredzie!

Piszę do ciebie dorywczo na stacyi Skierniewice. Jestem na drodze do Berlina. Jutro rano stanę tam w hotelu „Victoria.“ Proszę cię bardzo, przyślij mi co pieniędzy, abym się mógł do was dostać. W Paryżu znajdę już sobie jakie takie utrzymanie. Tu dłużej wytrzymać nie mogę. Wyobraź sobie co za naród ci żydzi:

Bankierówna wzięła mnie na kawał w najhaniebniejszy sposób. Kilka dni temu przychodzę do niej w południe oświadczyć się stanowczo. Z moją „irresi-

stible" pewnością siebie, zaczynam mówić o słabych stronach, o tej sławnej teoryi, która mi tyle sukcesu zjednała na paryzkim bruku. Moja donna, z uśmiechem łagodnym odpowiada, że dziś odkryje mi sama swą słabą stronę.

Myślę sobie: zwycięztwo! A ona, wyobraź sobie, pokazuje fotografię tego przyrodniczka, o którym ci wspominałem, i mówi słodko: Oto moja słaba strona i mocna strona zarazem — mój narzeczony. Wszak go pan znasz?

Djabli nadali z takim egzemplarzem!

Je fais bonne mine au mauvais jeu, wynoszę się. W drodze kombinuję sobie: zostaje mi druga, Mińska — konsul trebizondzki na tytuły łakomy.

Działo się to w sobotę. Byłem właśnie proszony na herbatę. Wchodzę — i o zgrozo! — nowa konfuzya:

Doktorek, którego swatka kazała mi się bać, jako rywala, zwąchał w sam czas niebezpieczeństwo, rejterował do mniej bogatej, ale pewnej konsulówny.

Co za przebiegłe głowy! Wściekam się na nich, i podziwiam.

Cóż miałem robić? Sprzedaję ukradkiem moje — czyli tak jakby moje — ruchomości, golę czysto angielskie faworyty, przebieram się i pod fałszywem nazwiskiem... czmych! za granicę.

Już mnie nie złapią! Ach! co ja przecierpiałem, ile mam przykrości! Nie wdaję się więcej z tą kanalią. Choruję na żydowstręt. Niech ich tam! Każdy z nich ma nos długi, ale co też on nim nie wywącha!

Ten Lolo naprzykład, takie głupiutkie stworzonko, a jaki nos! Kręcił się tu koło jakiejś ładnej brunetki, a wczoraj donosi mi, że proponują mu w War-

szawie — córkę jakiegoś miljonowego Rubelmachera, a wraz z nią 30 tysięcy rubli.

Jest ona wprawdzie felerową na punkcie prawej łopatki, ale ojciec jej jest bardzo poważnym „dyskonterem“ *robiącym w dobrych wekslach* na Nalewkach.

Czy on się tak namęczył, napracował jak ja? Nie — co za nosy! co za mózg! Mój węch arystokratyczny nie na to stworzony: trzeba wrócić do tradycyi, wiary, do ludzi, u których to wszystko popłaca!

Takiemu Lolowi to się udaje. I gdzież tu sprawiedliwość na świecie?

Piękna bruneteczka pociesza się podobno z jakimś wekslarzem mającym bardzo pokaźną liczbę dochodu, a jeszcze większą liczbę lat. Ale ça n'empeche pas.,. Całe miasto się zachwyca temi partyami. „Jakie karjery!“ — krzyczą.

Pocieszam się, że za „bête noire“ obrali Mińską i Czulskiego. Jak z nich kpią, jak się na nich oburzają, konsulowa o mało nie zemdlała, skoro jej to zakomunikowałem: krzyczała, że to skandal, że do takiego mezaliansu nie dopuści.

Wszyscy, powiadam ci, bij, zabij na nią. Własny ojciec wyrzeka się jej. To żyd starej daty,— zamknął się podobno w pokoju i włosy sobie z głowy wydziera.

Piszę ci to wszystko, bo chcę myśli rozerwać. Nudzę się jak mops w tej podróży, a przytem chcę skończyć z tym drażliwym tematem. Proszę cię szanuj moją boleść i nie poruszaj tej struny. Zapomnij o mej *mezawanturze* i przyjmij w swe objęcia kochającego cię wiecznie

 Jana.

EPILOG.

W rok potem u pani konsulowej Mińskiej zebrano się znowu i obchodzono hucznie rocznicę ślubu gospodarstwa.

Na kanapie, opisanej na początku naszej powiastki, siedziały pani Klatschmacher i pani konsulowa. Dzisiejsza uroczystość przypominała im ubiegłe wypadki.

— Ktoby się wtedy spodziewał, że moja Rose zrobi tak świetną partyą, pierwszy raz odstąpiłam od moich zasad. Samuel jest teraz jednym z pierwszych operatorów na kraj cały: najwięksi dygnitarze potrzebują jego pomocy, a przytem stryj jego, który był impossible, umarł jeszcze przed ślubem; z familją ułatwiliśmy się bez ambarasu. Rose jest tak szczęśliwą, a co mnie najbardziej cieszy — od pewnego czasu stała się tak dystyngowaną: wydelikatniała, zeszczuplała... Spojrz tylko na nią. Jaka bladość interesująca, co za ruchy powolne! Istne książątko! Nawet mówi mało i zwolna. Quelle difference!

— Tak, tak, kochana bratowo, ale ja się też nie mam czego powstydzić. Brylant — to istny milioner.

Mimi namawia go, aby się usunął od interesów. Ma zostać sędzią trybunału handlowego — to także coś znaczy.

— No, naturelement. Piękniej sonuje pan sędzia — pani sędzina — aniżeli „wekslarz.“

— Bankier przecież, proszę bardzo!

— Ach! laissons cela! Ale gdzież reszta towarzystwa, Cecile naprzykład? Biedactwo przynajmniej odetchnie trochę inną atmosferą. Właściwie... dobrze jej tak. Żeby wszystkim i własnemu ojcu naprzekór tak się zagrzebać? Ach c'est horrible!

— Czyś dawno ją widziała?

— Ach! teraz jestem tak zajętą! Wiesz, że muszę być codzień u córki, pomagać jej w gospodarstwie. Tyle pokoi, tyle służby — to kłopot nie mały.

— Ja także tam nie chodzę. Trzecie piętro, to za bardzo fatigant. Tak u nich po parafiańsku!

— Dziwacy, daję słowo! I tacy ludzie żyją na świecie!

W tej chwili nowi goście wchodzić zaczęli. Pani domu wstała na ich przyjęcie. Klatsmacherowa jej pomagała. Zrobił się wielki ruch. Dwie tylko młode kobiety, siedzące przy sobie w kąciku, nie zdawały się zwracać wiele uwagi na resztę towarzystwa.

Jedna z nich — to nasza dawna Mimi.

Zbytki, wygody, stroje, a przytem i pewność siebie podniosły jej wdzięki tak, jak oprawa odpowiednia podnosi piękność kosztownego klejnotu.

Była to kobieta światowa w całem znaczeniu tego wyrazu. Kształty jej rozwinęły się; na czole zarysowała się lekka fałdeczka niby odcień wyższości-

i dumy. Oczy świeciły jeszcze gorętszym blaskiem— patrzały śmiało, rzucając iskry dokoła.

Przy niej siedzi drobna, wątła, delikatna osóbka, o bladem licu, o zgasłem spojrzeniu. Zakrywa usta wachlarzem, aby stłumić poziewanie! Taka młoda a już tak apatyczna i blada. Czyżby to była nasza dawna znajoma Rose?

— Ach jak się nudzę — to rzecz okropna! Trzy razy dziś zmieniałam toaletę—nie pomogło. Marietta, moja panna służąca, opowiadała mi skandaliki, z których się dawniej śmiałam wesoło. Teraz — cela me degoutte.

— Dziwię się: masz wszystko, czego tylko zapragnąć, o czem zamarzyć zdołasz — odpowiedziała Mimi, patrząc dokoła z tęsknem oczekiwaniem.

— Ach! właśnie dlatego, że miałam wszystko nim zapragnąć, zamarzyć zdołałam. Wszystkie moje życzenia spełniają się przed ich objawieniem, przed pomyśleniem o nich nawet! Nie mam więc czego pragnąć. Ach! que c'est embetant! Cały dzień sama...

— A mąż! .

— Mąż? Ty wiesz najlepiej jak on zajęty. Samuel ma tak rozległą praktykę... Zresztą choćby siedział w domu?... On taki poważny, dla niego tylko istnieją nauki, a na wieczorach karty go absorbują. O czem byśmy mówili? On by mnie nigdy nie zrozumiał...

— A dziecko? — wtrąciła znów Mimi, spoglądając na drzwi z wzrastającą niecierpliwością.

— Moja Stelcia? to takie jeszcze małe! Boję się dotknąć, żeby nie złamać; kiedy do niej mówię, płacze... Żeby ją choć już stroić można, miałabym roz-

rywkę, a tak — popatrzę sie chwilę: oto i wszystko. Mam taką dobrą mamkę i jeszcze bonę do dozoru.

— Przecież dzień taki krótki — wyrzekła Mimi i zwróciła oczy na zegar stołowy.

Rose ciągnęła dalej:

— Podziwiam cię: jakaś ty filozofka! Powiedz co robisz, aby być tak wesołą i ożywioną? Czem twe życie zapełnione, dla czego nie nudzisz się nigdy?

— Bonsoir Mesdames... Lolo wyświeżony, elegancki, jak zawsze stanął przed niemi.

Gorący rumieniec objął policzki pięknej pani Brylantowej.

— Nareszcie! szepnęła z cicha, uściskiem odpowiadając na uścisk ręki. Głośno spytała:

— Gdzie żona?

— Niestety, kochana małżonka moja jest nieco cierpiąca: jej zwykłe reumatyzmy, przytem powietrze tak wilgotne... Miałem zostać w domu, ale nie mogłem zrobić zawodu tak miłemu gospodarstwu — odrzekł tak głośno, aby wszyscy słyszeli. Poczem usiadł obok Mimi.

— Właśnie żona moja ubolewała, że pani na nas taka niełaskawa, tęskni za panią, a ja... — szepnął namiętnie drżącym głosem.

— Przez kilka dni mąż był chory. Wieczory musiałam spędzać w domu — westchnęła — a w dzień niema państwa w domu.

— Na usługi pani — zawsze: wejdź pani tylko do mnie, a siłą elektrycznego dzwonka łączącego mieszkanie z kantorem sam niby elektrycznością przyciągnięty — przybiegnę.

— Ach! jutro o 3-ciej. — Spojrzał na nią błagalnie, chciał coś mówić więcej, ale Mimi szepnęła: — Dobrze — i skinęła znacząco. Zbliżyła się pani konsulowa:

— Je n'y comprend rien. Czyżby nie umiała ocenić zaszczytu, jaki jej czynię?

— Powiedzcie mi państwo. czy kto z was wie, co się dzieje z Cecylją?

— Ja ją dziś widziałam — odezwała się Rose. Spotkałyśmy się na ulicy. Ach! żal mi jej serdecznie! Miała na sobie jakąś tybetową spódniczkę z wodami i marszczoną falbankę. Imaginujecie sobie, moi państwo, teraz wody i marszczone falbanki! — dodała z naciskiem i oburzeniem w głosie.

— Żartujesz chyba? C'est de l'anachronisme, z uśmiechem ironicznym i pogardliwym wtrąciła Mimi.

— Jak ona nizko upadła! — zawyrokowała pani konsulowa. Rose tymczasem ciągnęła dalej:

— Powiedziała mi, że nie może się na dłuższy czas wydalać z domu: karmi sama dziecko. La pauvresse! Ach jak ona musi być nieszczęśliwa!

— A qui la faute?— spytała sentencyonalnie konsulowa. Zresztą, moje drogie, z tego co słyszę sądzę, że żenowałaby się nas.

— Zaledwie czuje, że byłaby deplacée w naszem towarzystwie, zrozumiała swoją niższość.

— My z panią profesorową z Chmielnej ulicy nie mamy odtąd nic wspólnego.

— Pewno żałuje swego błędu? — z litościwą łezką wyrzekła Mimi.

— Naturalnie! — Naturellement! — odezwało się zgodnie kilka głosów.

Czy Cesia żałowała swego szału? Czy w istocie czuła się nieszczęśliwą? Osądźcie sami.

W chwili, gdy litowano się nad nią tak czule, siedziała ona w swojem czysto i skromnie urządzonem mieszkanku i szyła sukienkę dla kochanego synka — wyglądała świeżo, zdrowo, wesoło; była prawie ładna. Z uśmiechniętym wzrokiem spoglądała na męża, który czytał jej swoją świeżo ukończoną pracę. Przerywali sobie, dysputowali żywo.

W głosie jej nie drżała już ta namiętna nuta wzruszenia, w oczach jego nie płonął gorączkowy ogień, jak w chwili gdyśmy ich pożegnali. Półtora roku wspólnego pożycia ostudziły pierwsze porywy szalonej miłości, lecz wyrobiły natomiast uczucie głębokie i trwałe, które zespoliło nierozerwalnym węzłem umysły i serca.

Dzisiejszą pogadankę przerwała pierwsza Cesia.— Wstała.

— Wybacz, mój drogi! — muszę zajrzeć, czy wszystko do kolacyi gotowe — już tak późno.

— Pani moja dziś z niezwykłym zapałem, krząta się koło gospodarstwa?

— Dziś tylko? nie obrażaj mnie! Za chwilę wrócę. Nie przeszkadzaj sobie — dodała, i wybiegła z gorączkowym pośpiechem.

Gustaw zaniepokojony poszedł za nią, i stanął zdziwiony na progu jadalni:

— Stół tak suto zastawiony? trzy nakrycia, kwiaty? jakaż to uroczystość niezwykła? Kogo się spodziewasz, moja duszko?

— Ach mój Boże! Przerwałeś sobie pracę, a mnie popsułeś moją całą uciechę. Tak cieszyłam się tą niespodzianką. Ale nie — nic nie powiem. Widzisz i kobieta zachować potrafi tajemnicę. Spodziewam się upragnionego gościa, za którym wylewałam łzy tęsknoty, którego kocham nie mniej niż ciebie i Olesia.

Gustaw chciał dopatrzyć się w tem żartu, ale słowa jej brzmiały tak poważnie, czule. Zapytał więc:

— Któż to taki? Mówisz o łzach tęsknoty — niepokoisz mnie.

— O! nie gniewaj się! Powiem ci więc wszystko. Łzy podobne, więcej już z oczu moich nie popłyną. Od dziś dnia, zaczyna się moje zupełne, doskonałe szczęście. Sądzisz, że majaczę jak w gorączce? Otóż kończąc tę mistyfikacyę: Ojciec wrócił, — będzie tu za chwilę.

— *Twój* ojciec.

— *Nasz* ojciec, ukochany, *kochający*. Zdawało się, że nic nie skruszy jego przesądów, że nigdy chyba tego, jak go nazywał, „mezaliansu“ mi nie przebaczy, a jednak posłuchaj: zapragnął gorąco poznać swego wnuczka. Przepłacił służącą, korzystając z naszej nieobecności. — i dzisiaj przyszedł zobaczyć go na chwilę. Ale któż się oprze naszemu aniołkowi? — Zachwycony pieścił go bez końca... Nagle weszłam, — spotkaliśmy się po roku niewidzenia... Rozpłakaliśmy się i... uścisnęli. Potem dopytywał się troskliwie o nasze pożycie, oglądał mieszkanie — chwalił wszystko. Potem znowu całował mnie i znowu płakał.

Przebaczył mi, tłómaczył się wpływem otoczenia. Sam cierpiał na naszej rozłące... Był tak wzruszo-

ny... zapomniał o różnicy majątkowej, pamiętał tylko, że jest ojcem i że mnie kocha. Odtąd będziemy ciągle razem!

Łzy płynęły z oczu Cesi — otarła je.

— To wszystko zawdzięczamy drogiemu pieszczoszkowi. Guciu! uściskajmy go! — Zbliżyli się do kołyski. Cicho! — szepnęła Cesia.

Dziecię spało spokojnie, trzymając paluszek w buzi. Rysy jego, ani poza nie były zbyt estetyczne, ale młodzi rodzice czas jakiś spoglądali na nie z zachwytem. Potem odeszli ostrożnie na palcach. Milczeli chwilę — wreszcie odezwał się Gustaw, całując ukochaną żonę:

— Tobie to, aniele mój drogi, tę chwilę i szczęście całe zawdzięczam.

Cesia odpowiedziała mu pocałunkiem i złożyła głowę na jego ramieniu, tuląc się w jego objęcia.

— Czyż nam tak nie lepiej niż na balu u pani konsulowej...— zapytał z uśmiechem Czulski.

— Ach ten bal! Wspomnienie jego smuci mnie. Myślę zaraz o moich kuzynkach i doprawdy żal mi ich serdecznie. Jakże one są nieszczęśliwe! Cóż ztąd, że natura uposażyła je tak bogato, kiedy wychowanie dary te zmarnowały!

— Masz słuszność. Inteligencya Mimi kończy się na błyskotliwym dowcipie, dobroć Rózi zamieniła się w chorobliwą czułość. Są to rozkapryszone dzieci goniące za zabawkami — z tą różnicą, że pani Brylantowa dla zabawki poświęci wszystko, a Rózia w braku coraz to nowych rozrywek zniechęci się do

życia. Nie rozwinięto w nich władzy myślenia, poczucia moralności i obowiązku. Ale moja pani ociera, jak widzę, łezkę: uspokój się, rozwesel, abyśmy godnie przyjęli kochanego naszego ojca. A teraz uściskaj mnie raz jeszcze.

KONIEC.